

**Saloon.**

**Autor:**

**Radosław Makuch**

## PROLOG.

Zasznurowane usta nie mogły krzyczeć. Na pewien sposób cieszyło to Szeryfa, gdy przyszło zawiadomienie o odnalezionym dziecku. Kolejnym. Nie musiał patrzeć na zdjęcia, wiedział, jakie ciało tam zobaczy.

Zmasakrowane. Niepełne.

Brzydka dykta tonęła w zdjęciach dzieci. Zaginione, martwe. Wszystkie bez imion. Sieroty. Nikt się nie zgłaszał. Nikogo nie obchodziły.

Przez zasznurowane usta nie dało się krzyczeć, ale gdy Szeryf wpatrywał się w zdjęcia, chciał bardzo. Sznurek, wynalazek, który chronił przed zarazkami, chronił go teraz jedynie od szaleństwa.

Musiał stamtąd wyjść. Noc była gorąca. Choć w tym Dystrykcie chyba nikt nie znał innej temperatury. Być może Maria...

Nie myśl o niej.

Włożył kapelusz i wskoczył na konia. Ruszył przez miasteczko pogrążone w ciszy. Cisza go nie bolała. Już nie. Bolał go smród. A to miasteczko śmierdziało jak żadne inne. Czasem wierzył, że nad miastem musiało coś wisieć. Jakaś chmura? Może coś pozostało po Wojnach Atomowych?

- Dawaj to! – z rozmyślań wyrwał go krzyk w alejce obok.

- Ty kurwo!

Głosy obijały się na końcu korytarza. Zsiadł z konia. Ruszył wąską ścieżką między budynkami. Na ścianie przed nim odbijały się trzy cienie.

- Dwóch na jednego – pomyślał Szeryf. Odbezpieczył rewolwer.

- Błagam, to dla mojej... - cios na szczęce zabrał koniec zdania.

- Wypierdalaj od niej!

- Znowu byś to zrobił, tak?!

Głosy mieszały się razem z ciosami. Wypalił z rewolweru w powietrze.

- To Szeryf!

- Dawaj, dawaj, dawaj! Spierdalamy!

Uciekając, potykali się na żwirze. Krzyk. Rewolwer. Strzał. Błysk. Krew. Kopyta.

Gdy wybiegł z uliczki, zobaczył jedynie dwójkę galopujących koni. Nawet się nie ruszył. Opuścił. Może ruszyliby w innym Dystrykcie. Może w innym życiu.

Wrócił do alejki. Pod mokrą ścianą, leżał chłopak w tanim garniturze. Jego twarz przypominała gąbkę. Oczy zniknęły gdzieś w purpurze. Dłoń błyszczała metaliczną zielenią. Patyna. Był zarażony.

Szeryf odsznurował usta.

- Czego chcieli? – brzmiał, jakby nie odzywał się od bardzo, bardzo dawna.

- Boli... – wycharczał chłopak.

- Znasz ich? Czego chcieli? – powtórzył.

- Znam ich siostrę...

Ryk syren z pobliskiego szpitala zagłuszył resztę zdania.

- AMBA będzie tu za pięć minut.

- AMBA? Nie, nie. Ja... - spróbował się podnieść, z piskiem opadł na żwir.

- Pomogą ci.

- Wiesz, że nie. Pomóż mi... przejdźmy kawałek. - mówił z trudem, wypływając kolejne słowa.

- Czego chcieli?

Szeryf przykucnął przy chłopaku. Wypełniony portfel wystawał z kieszeni. Na nadgarstku błyszczał zegarek.

Wypastowane buty nadal były na jego nogach.

- Tego – powiedział.

Wyciągnął dłoń w stronę mężczyzny. Zakrwawionymi palcami ścisnął porwaną różę.

- Pobili cię o sztuczny kwiatek? – zapytał Szeryf – Dla tej siostry, tak?

Chłopak kiwnął głową, po czym wzruszył ramionami.

- Przykro mi. Co miałeś znowu zrobić?

- Co? – chłopak splunął. Żwir zmienił kolor na czerwony.

- Jeden powiedział: „Znowu byś to zrobił”.

Chłopak milczał z wystawionym językiem. Przełknął ślinę, po czym spróbował sięgnąć do kieszeni.

- Przepraszam, mógłbyś powiedzieć mojej... - zamilkł, szukając odpowiedniego słowa - ...mojej szefowej co się stało?

Ulotka upadła na żwir.

- Powiedz – mężczyzna pociągnął go za krawat - Co miałeś znowu zro...

Ryk syren wypełnił uliczkę. AMBA. Zamiast patrzeć na ratowników, Szeryf zerknął na ulotkę.

„SALOON ALBAKORA”.

Spojrzał na księżyc. Było późno. Poczuł jak jest cholernie zmęczony.

- Szefowa i tak pewnie ma go gdzieś – pomyślał.

Nie musiał się spieszyć.

## ROZDZIAŁ I.

## ALBAKORA.

Duże, czerwone litery krzyczały z ciepło oświetlonej, drewnianej ściany. „Androidom, pół-androidom i innym śmieciom wstęp wzbroniony”. W wypełnionym ludźmi saloonie było zaskakująco cicho. Dwójka pijąca piwo przy oknie nie rozmawiała. Dwójka karciarzy na środku drapała się po brodach. Uderzający z niehumanitarną precyzją bilardzista, nawet nie podnosił wzroku. Biała bila, która wypadła ze stołu i uderzyła w podłogę, również starała się nie narobić hałasu.

Jeżeli panowała tu jakaś reguła milczenia, nie obowiązywała Barmanki. Ubrana w jeansy i czerwoną, kraciastą koszulę z istnym chaosem na głowie, wykrzykiwała coś do jednego, żartowała z drugim, jednocześnie lejąc whisky dla trzeciego.

- Co tak siedzisz? – Szeryf zobaczył jej ogromne oczy, patrzące na niego znad baru – Słoneczko, chcesz jakieś piwo, albo co?

Zlustrowała go wzrokiem. Zatrzymała się na ustach. Machnęła ręką.

- No i chuj. Z nikim nie pogadasz, wszyscy ino związani – mówiła ciężkim, wiejskim akcentem.

Mężczyzna teatralnie odsznurował usta. Barmanka uśmiechnęła się, odsłaniając zęby. Przeszczepione, ewidentnie tanie. Paskudne. Zwierzęce.

- No i w końcu odsznurowany! Czego byś się napił, hę?

- Wody.

- E no abstynent się znalazł! Wodę w saloonie, kto by to pomyślał, żeby...

Urwała, widząc jego wzrok.

- Dobra, dobra, już podaje, no.

- Dziękuję.

Omiótł wzrokiem pomieszczenie. Miłe, pustynne światło wpadało przez ogromne okna po obu stronach lokalu. Kilka stolików, krzesła, stół do bilardu. Dość skromnie. W przeciwieństwie do sufitu, gdzie wiszące kable układały się w mozaikę. Niektóre spływały po ścianie, by zniknąć w podłodze.

- Co tak myślisz, słoneczko? – rzuciła barmanka.

- Długo tu Pani pracuje? – zapytał.

- Och! Nie pamiętam już nic innego. Mama go założyła. Od zawsze tu jestem!

- Proszę Pani, jestem tutaj, ponieważ...

- Jaka Pani, gdzie? Mów mi K...K-a... - jej głos falował. - Asia. Mów mi Asia.

- Jeden z pracowników został wczoraj pobity. Jest w szpitalu – na twarzy Kobiety nie pojawił się nawet cień emocji – Kazał przekazać.

Rzucił zmięty banknot. Pożegnał się szybkim skinieniem głowy, po czym sięgnął do sznurówki ust.

- Ale my nie mamy żadnych pracowników – powiedziała.

Mężczyzna odwrócił się.

- Bar, picie, magazyn, sprzątanie. Wszystko robię sama.

- Nie rozumiem. A Pani matka?

- Mama – poprawiła go - Ledwo ją pamiętam.

- Przykro mi.

- Ale o co w ogóle chodzi? – spojrzała na jego odznakę – Szeryfie? Ktoś powiedział, że tutaj pracuje, ta?

- Tak. Dał mi... – sięgnął do kieszeni – dał mi taką ulotkę.

Jej oczy się powiększyły.

- O kurwa, skąd to masz? To od niego?

Szeryf kiwnął głową. Uderzając palcami o płaszcz, wybijał powolny rytm. Mimowolny nawyk. Od jej śmierci, zdarzał mu się zdecydowanie zbyt często.

- Pierdole, czy to on... znowu to zrobił.

Mężczyzna zastygł w bezruchu.

- Przepraszam, co Pani powiedziała?

- Ostatnio znowu zniknęły mi ulotki. Prosto z drukarni. Zawsze kilku brakowało. Wiedziałam, że to nie wina drukarni!

- Ulotki? – powtórzył powoli.

- Tak. Te jeszcze nie dotarły z drukarni nawet! Chuj go wie, skąd je ma.

Szeryf schował ulotkę do kieszeni płaszcza.

- Ktoś kradnie Pani ulotki, tak?

- Tak. Proszę! Mógłbyś to sprawdzić? – spuściła wzrok na dół – Co ci się dzieje z rękami?

- Tak sprawdzę w wolnej chwili – wyjął z kieszeni staromodny notatnik – Jakiś adres tej drukarni?

- Mam z tyłu, czekaj chwilę - odwróciła się na pięcie i zniknęła w ciemnym korytarzu za barem.

Gdy zniknęła, zacisnął dłonie w pięści, nie potrafiąc ich opanować.

Sprawa znikających ulotek. Marzenie szeryfa każdego dystryktu.

## ROZDZIAŁ II.

### *PROSZĘ, NIE PIJ ATRAMENTU.*

Chłopak spróbował się poprawić na zielonym, szpitalnym łóżku.

- Powiedziała, że cię nie zna – powtórzył Szeryf.

Wyglądał jeszcze gorzej niż podczas ich pierwszego spotkania. Miał przestrelone kolana – sposób AMBY na leczenie zarażonych patyną.

- Nie gadałeś z... szefową – odpowiedział Chłopak, cały czas mówiący z trudem. – Niczego też nie ukradłem.

- Tak powiedziała – powiedział Mężczyzna.

Myślni był gdzie indziej. Wpatrywał się w fotografie. Kolejne ciało, ale coś było nie tak. Nie była to kolejna sierota, a córeczka aktualnego...

- Szukaliśmy pana wszędzie Szeryfie – usłyszał za sobą głos.

W drzwiach stała kobieta, świdrująca go wzrokiem. Zaraz za nią kulił się mężczyzna. Szeryf znał ich dobrze.

- Chcemy... Chcemy to zobaczyć – Burmistrz brzmiał słabo.

Poprawił odznakę, po czym wyciągnął rękę z trzymanym zdjęciem.

- To ona – powiedział cicho.

Kobieta oddała mu fotografie. Nie mogła patrzeć na coś, co jeszcze tydzień temu było jej córeczką.

- Przykro mi – rzucił mechanicznie Szeryf. Ostatnio mówił to zbyt często.

Burmistrz osunął się na krzesło. Człowiek, który trzy lata temu porywał tłumy, krzycząc o zmianie Dystryktu, teraz zagryzał chude palce. Zepsuty. Przeźroczy. Pokonany.

- Znalezione ją pod mostem Lencza – zaczął Szeryf – Według laboratorium leżała tam kilka dni. Sprawca po raz pierwszy nie porwał sieroty, co oznacza...

- Wcale nie – cichy głos Kobiety brzmiał jak smgnięcie biczem.

- Słucham?

- Wcale nie jest ci przykro. Jebie cię to z góry na dół.

- Kochanie... - Burmistrz delikatnie ścisnął dłoń żony.

- Robię wszystko... – zaczął Szeryf, muskając swój kapelusz.

- I co to dało? – przerwała ostro.

- Wszystko co w mojej mocy – dokończył.

- I co to dało? – powtórzyła. Ręką wskazała na zdjęcie swojej córki – Tyle.

Szeryf milczał.

- Robisz wszystko, to czemu jej teraz tutaj nie ma?

- Kochanie... - spróbował jeszcze raz Burmistrz.

- Robisz wszystko, to czemu leżała tydzień pod mostem? Robisz wszystko, to czemu jest w kawałkach? Robisz wszystko, to czemu siedzisz tutaj z tym mordercą?

Mówiła cicho. Nie płakała. Jej oczy wydawały się przezroczyte. Tak, jakby wypłakała już wszystko, co mogła.

- Przepraszam, nie jestem... - zaczął chłopak.

- Zamknij mordę – Kobieta odwróciła się w stronę Szeryfa - Popatrz mi w oczy i powiedz. Powiedz, że robisz wszystko, ale to absolutnie kurwa wszystko, co tylko możesz.

Wolnym krokiem podeszła do krzesła, na którym siedział. Nachyliła się, prawie zderzając się o jego twarz.

- Czy po prostu bierzesz kasę i tyle – jej niebieskie oczy wkręcały się pod jego skórę – Może nawet od kogoś? Od niego? – głową wskazała na chłopaka w łóżku.

- Nie biorę. Nie jestem waszym rządem.

Kobieta odsłoniła idealnie białe zęby. Po chwili cmoknęła.

- My, chociaż mamy jakieś zasługi. A ty? Ile jeszcze takich zdjęć masz? Ile takich jeszcze wisi u ciebie?

Szeryf milczał.

- Więc teraz – wbiła długi palec w jego klatkę piersiową – Wyjdiesz stąd i weźmiesz się do pracy, bo jeśli choć jeszcze raz usłyszę, że robisz co możesz albo że ci przykro, to obiecuję, ale to absolutnie obiecuję, że cię wypatroszę.

W pomieszczeniu zapanowała głucha cisza. Burmistrz nieobecnym wzrokiem wpatrywał się za okno. Jego żona cały czas wbijała wzrok w żółtą odznakę na płaszczu mężczyzny. Dopiero po chwili się odsunęła.

Dopiero gdy Szeryf podniósł się z miejsca, poczuł jak bardzo boli go całe ciało. Sięgnął po leżący na ziemi kapelusz, strącony nawet nie wie, kiedy. Idąc do drzwi, czuł ucisk przy każdym kroku.

Zatrzymał się przed drzwiami. Chciał coś powiedzieć, ale czuł się, jakby już nie potrafił. Bez słowa wyszedł na zewnątrz.

- Ja pierdole, ale leje – usłyszał.

Obok siebie zobaczył niską dziewczynę w czerwonych skarpetkach.

- Mariaż? - zapytał.

- O chuj, nie poznałam cię.

- Ja ciebie też. Dużo klientów dzisiaj?

- Możesz być następny – uśmiechnęła się – Dawno cię nie było.

Odpaliła taniego papierosa. Mężczyzna od razu poczuł zapach słomy.

- Dzisiaj same androidy.

- Naprawdę?

- Tak, ale słuchaj. Nikt nie chciał się jebać. Żaden. Zgadnij, co robiliśmy.

- Rozmawialiście o poezji.

- Spierdalaj. Tak serio, to każdy, ale to każdy kurwa chciał się jedynie przytulać. Rozumiesz?

- Całą godzinę?

- Tak. Ludzie nie chcą się przytulać, a oni...

Urwała.

- Sorry w ogóle, zapomniałam. Mam zmienić głos, twarz?

- Nie.

- Nie chcesz żebym wyglądała jak Maria?

- Nie, nie trzeba. Nie dzisiaj.

Spojrzała na niego z ukosa. Coś chciała powiedzieć. Odpuściła. Cmoknęła.

- Po pracy?

- Tak w sumie to tak.

Nagle coś sobie przypomniał. Wyciągnął notatnik i pokazał dziewczynie adres drukarni.

- Wiesz może, gdzie to jest?

- Daj mapę, pokaże ci – uśmiechnęła się - Często drukuje tam moje wiersze.

\*

Drukarnia mieściła się w budynku pamiętającym jeszcze wojny z Androidami. Dziura obok wejścia ciągle pachniała plazmą. Odrapane ściany i wybite okna pamiętały lepsze czasy.

Do tego to stukanie. Regularne uderzenia roznosiły się po budynku. Szeryf rozejrzał się.

- Halo? – krzyknął.

- Znowu ty? Jeszcze nie skończyłem! – wrzasnął metaliczny głos gdzieś z końca budynku.

Wyciągnął rewolwer i ruszył wąskim korytarzem. Ściany, podłoga, małe pomieszczenia po bokach – wszystko topiło się w ulotkach.

Wtedy poczuł, że coś jest nie tak. Z każdym krokiem coraz bardziej bolały go barki. Nagle zdał sobie sprawę.

Korytarz zwężał się z każdej strony. Zimne ściany z delikatnego muskania, przeszły do ucisku.

Wbił wzrok w duże, czerwone usta odbite na jednej ze ścian. Czerwony ślad szminki, ciągnął się aż do samego końca. A musiał na niego patrzeć. Nie mógł już odwrócić głowy. Małe, zielone drzwi na końcu wydawały się tak blisko. Pomimo wysiłku, nie czuł, że się zbliża. Czuł jedynie, jak trze ciałem o ściany.

W końcu wyciągnął rękę ku zardzewiałej klamce. Drzwi nawet się nie ruszyły. Zrobił krok. Po chwili jeszcze jeden. Nic. Przyparł ciałem do drzwi. Z hukiem runął na drugą stronę. Leżąc skulony na ziemi, przetarł czoło.

- Kto ty? – usłyszał zdenerwowany, piskliwy głosik.

Szeryf podniósł się powoli. Dookoła panowała nieprzenikniona czerń, z której dochodził dźwięk stukania.

- Kto tu jest? – rzucił w ciemność.

- Znowu cię wysłała? – pisnął ten sam głos.



Głos milczał. Szeryf wyciągnął z kieszeni małą zapalniczkę. W drugiej dłoni ścisnął rewolwer. Światło zapalniczki ledwie oświetliło jego czubek nosa. Wyteżał wzrok jak mógł, ale nie potrafił dojrzeć ani ścian, ani sufitu.

- Kto ty? – znowu usłyszał ten głos.

- Szeryf – odpowiedział, szukając płomieniem głosu.

Długi jęk wypełnił ciemność. Po chwili połączył się z przeciągniętym, płaczliwym krzykiem.

- Błagam! Pomóż mi!

Ścisnął mocniej rewolwer i ruszył na ślepo do przodu. Machając zapalniczką w każdą stronę, liczył, że coś zobaczy.

Aż w końcu zobaczył.

- Błagam... - jęknął głos.

Przed szeryfem rozciągała się długa, drewniana ściana. Na całej długości wisiało ciało mężczyzny przybite gwoźdźmi. Jego skóra, na siłę naciągnięta na krańce, zaczynała pękać. Ktoś próbował je sklejać połączeniem szarej taśmy i taniego kleju. Jego prawa ręka przypominała kurzą łapkę, przyspawana była to plastikowego stolika tak, aby móc jedynie obsługiwać dźwignię, spuszczającą matrycę do drukowania.

Nie miał oczu. Zamiast czubka głowy, ziała brudna, czarna dziura. Ktoś wyjął jego mózg i przybił obok.

Przezroczysty kawałek plastiku odsłaniał z trudem pracujące flaki.

W jego żyłach płynęło coś czarnego. Plamy błyszczącej, czarnej substancji widać było na całym jego ciele.

- Pistolet... musisz ... – wyjęczał głos.

Szeryf oszołomiony spojrzał na swój pistolet.

- Zastrzel, po prostu. Błagam.

- Kto ci to zrobił? – jego głos był cienki, słaby.

- Zastrzel! Zajeb! No już! – wrzasnął. Z jego wyłupanych oczu zaczęły lecieć czarne, błyszczące łzy.

Odbezpieczył rewolwer i powoli podniósł rękę. Szybko celownik znalazł się na mózgu. Wystarczy tylko...

- Co ja robię? – pomyślał.

- Kto ci to zrobił? – powtórzył, opuszczając pistolet.

- Ona... to była...

- Jaka ona?

- Mówiła... mówiła, pytała, czy byłem w Niebie.

- Jakim Niebie?

Mężczyzna pociągnął nosem, po czym splunął. Na ziemi pojawiła się duża czarna plama.

- Był tu kiedyś chłopak? Młody, w garniturze, z kwiatem róży?

- Chł-Chłopak? Nigdy – odparł po chwili – ale ona... często brała.

Wygiął zasuszone palce, wskazując na leżącą pod stolikiem skrzynię, zabezpieczoną zardzewiałą kłódką.

Szeryf przystawił do niej pistolet i nacisnął spust. Kłódka spadła na ziemię.

- Ach. Myślałem..., że to dla mnie...

Skrzynia zgrzytała przy otwarciu. W środku, na dnie, idealnie poukładane, leżały sztuczne kwiaty róży.

- Po co jej były te kwiaty? – zapytał spokojnie.

- Mówiła..., że dla dzieci – odparł mężczyzna.

Szeryf podniósł się.

- Wiesz, kim była? Jak się nazywała?

- Wiem, gdzie pracowała. – odpowiedział z wahaniem.

- Gdzie? No powiedz.

- Powiem, jak... mnie zastrzelisz.

- Powiedz.

Kurza łapka na chwilę zamarła. Po chwili przesiąknięte atramentem usta powiedziały:

- P-pracowała w Saloonie. Albakora.

Szeryf spojrzał na pistolet. Co ja robię? – pomyślał.

### ROZDZIAŁ III.

#### WYSTARCZY ŁYŻECZKA.

Wchodząc do środka, czuł obrzydzenie. Rzucił okiem na stałych bywalców. Jednego z karciarzy drapiącego się po brodzie. Bilardzistę, składającego się do uderzenia. Ciekawe, czy którykolwiek coś podejrzewał.

- O słoneczko. Znowu woda, ta? – usłyszał, siadając przy barze.

Kobieta wyrosła przed nim znikąd. Nic się nie zmieniła. Położył dłoń na rewolwerze.

- Zaszalejmy. Niech będzie whisky – uśmiechnął się.

- Uuuu. Masz. Świętujemy coś?

Zamiast odpowiedzieć, podniósł kieliszek i jednym ruchem wlał w siebie alkohol.

- Wow! Spokojnie! – zaśmiała się.

- Dawno tego nie robiłem.

- Nie przejmuj się! Dawaj, masz tu jeszcze.

Szeryf nachylił się do Kobiety.

- Napiałabyś się ze mną? – zapytał.

- No, cóż... - zawahała się – A chuj. Skoro nalegasz – dodała z uśmiechem.

Nie traciła czasu na szukanie kieliszka. Pociągnęła łyk prosto z butelki.

- Udało ci się słoneczko, sprawdzić tę drukarnię?
- Już myślałem, że nie zapytasz. Właśnie stamtąd wracam – spojrzał na pusty kieliszek – Nalej jeszcze, proszę.
- Już, już. No i co z tymi ulotkami?
- Moja żona uwielbiała whisky – zaczął mężczyzna – Ale miała z nim jeden problem. Zawsze miała po nim kaca.
- Twoja żona?
- Maria.
- Nie widzę, żebyś miał pierścionelek.

Pociągnął kolejny łyk. Nawet po alkoholu czuł wstyd, że tak po prostu go zgubił. Kurwa...

- Po whisky nie ma się kaca. Ona miała zawsze.
  - Złapałeś tego złodzieja? – zapytała Kobieta.
- Mężczyzna odwrócił się, słysząc uderzenie. Bilardzista podnosił bilę z podłogi.
- Wiesz, co powtarzała? - zapytał nagle.
  - Ktoś tu wypił chyba za dużo – Barmanka machnęła mu ręką przed oczami. Spiął wszystkie mięśnie, aby nie zareagować – No pijany... - dodała szeptem.
  - Powtarzała „Pijąc, dotykamy dna. Bez picia widzimy samo dno”.
  - Piękne, naprawdę.
  - Te dzieci, które zabiłaś, już nic nie zobaczą.

Barmanka znieruchomiała.

- Że co?

Zamiast odpowiedzieć, położył rewolwer na barze.

- Słoneczko, oszalałeś? Kto, ci tak powiedział?
- Bez znaczenia.
- Ale, ja... - jej rozbiegane oczy szukały słów – Drukarz ci tak powiedział?
- Bez znaczenia – powtórzył – Gdzie one są?
- Kto?

Chwycił rewolwer. Wyjął bębenek. Obracał go boleśnie powoli.

- W dupie mam Drukarza – bębenek skrzypiał w jego palcach – Co zrobiłaś z dziećmi?
- Nie rób tego – szepnęła Barmanka – Bo ona przyjdzie.
- Gdzie one są?

Chwila, ona? Nie zdążył zapytać, ponieważ kobieta nagle szeroko otworzyła usta i zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, wyglądały inaczej. Wbiła w niego błyszczący, pozbawiony źrenic wzrok.

- Co do... - palnął Szeryf.

Kobieta zgięła się w pół, wyciągnęła rękę przed siebie. W ułamku sekundy wyrwała mu z rąk rewolwer i oddała strzał. Mężczyzna poleciał do tyłu, czując ciepło na ramieniu. Wyrzwał o stolik. Unikając pędzących pocisków, przetoczył się po podłodze. Jeden, drugi, kolejny. Wystrzeliwała je z mechaniczną szybkością. Rozejrzał się. Obok siebie miał drewnianą ławkę, jeszcze chwilę temu wypełnioną ludźmi. Kopnął ją.

Gdzie są wszyscy? Nie miał czasu nad tym myśleć. Przyłgnął plecami do drewna. Instynktownie sięgnął do pasa. Pusty. Cholera. Spróbował się wychylić. Błąd. Kula świsnęła milimetry obok jego ucha.

Padł na ziemię. Obok nogi leżała metalowa łyżka. Zawsze coś. Chwycił ją z trudem. Czuł, jak krew zalewa mu bark. Gorączkowo wodził oczami dookoła. Nie widział niczego, co mogłoby mu pomóc.

Jeszcze raz spróbował wyjrzeć. Barmanka zbliżała się do niego. Stawiała powolne, niezdarne kroki. Wyglądała, jakby dopiero uczyła się chodzić. Spojrzał na łyżkę trzymaną w ręku. Do głowy wpadł mu pewien pomysł.

- No chodź – pomyślał.

Jeszcze jeden krok. Jeszcze chwila. Zaciśnął pięści. Kobieta szła do przodu. Dźwięk obcasów odbijał się od ścian.

Krok. Krok. Krok.

- Teraz – szepnął.

Wyskoczył zza ławki i rzucił się na Kobietę. Rewolwer wypalił w sufit. Ścisnął łyżkę i wbił kobiecie w oko, po rączkę. Barmanka wrzasnęła. Mężczyzna szybkim ruchem wyjął metal i wbił w drugie oko. Ciepła, pomarańczowa ciecz trysnęła mu na twarz.

Barmanka wierzgała, próbując się wydostać. Szeryf przycisnął jej twarz kolanem, po czym sięgnął po leżący na podłodze rewolwer. Został jeden nabój. Przycisnął lufę do jej nosa i nacisnął spust. Huk. Twarz Kobiety rozprysła się po pomieszczeniu.

Było po wszystkim. Mężczyzna położył się na podłodze. Oddychał ciężko. Otarł dłonią twarz. Bark bolał jak diabli. Gdy zdjął płaszcz, zobaczył krew. Biała koszula skleiła się z ciałem. Spojrzał na Kobietę. Z jej oka cały czas sterczała łyżka. Obok wyzierała dziura, z której wystawało kilka tanich, słomianych kabli. W jej twarzy nie było nic ludzkiego. Szybkim ruchem oderwał duży kawałek jej koszuli. Prostym węzłem związał bark. Podniósł się z trudem.

W Saloonie było ciemno. Pusto. Zimno. Przeładował rewolwer i wszedł za bar. Spodziewał się, że będzie się ugiąć od butelek, lodu i jedzenia. Zamiast tego ugiął się od kurzu oraz kabli wychodzących z ziemi i wpadających do kompletnie przerdzewiałej, czarnej skrzyneczki. Lufą przeciął szarą taśmę, zastępującą drzwiczki. W środku sterczał czerwony przycisk.

Nic się nie stało, gdy go nacisnął. Cały czas klęcząc pod barem, czekał na cokolwiek. Jakikolwiek ruch. Wstał, powoli wyzierając zza lady.

Biała bila wypadła za stół. Bilardzista skrzywił się. Brodacz bawił się kartami, zerkając w kufel sąsiada.

Saloon tętnił życiem. Szeryf rozejrzał się. Wszystkich tu wcześniej widział. Nikt nie wydawał żadnego dźwięku. Butem wcisnął przycisk. Wszyscy momentalnie zniknęli. Spojrzał na kable splątane na suficie. Większość spływała z sufitu, znikająca w podłodze i łączyła się w skrzynce. Niektóre płynęły dalej, znikając w spowitym czernią zapleczu. Gdy przekroczył jego próg, poczuł niepokój. W małym pokoju bez okien było gorąco. Na dodatek kompletnie nic nie widział. Zapalniczka nie pomagała.

W środku było pusto. Po gołych ścianach spływała woda. Z pękniętej rury buchała para. Z drugiej strony, na ścianie wisiał brzydki, sprany dywan. Szeryf przejechał po nim dłonią. Był twardy i szorstki. Prawdopodobnie z syntetycznej słomy.

To, co go dziwiło, to ledwo wyczuwalny wietrzyk wiejący zza dywanu. Chwycił tkaninę i rzucił ją na podłogę. Zamiast ściany, zobaczył błyszczące, czerwone schody. Kręciły się w dół. Z każdym stopniem, robiło się coraz zimniej. Zrobił krok. Pod stopą poczuł coś miękkiego. Gdy się schylił, zobaczył but. Malutki. Dziecięcy.

Przyspieszył.

- No w końcu przyszedłeś – usłyszał.

Miękki, kobiecy głos dochodził gdzieś zza rogu. Podniósł pistolet. Schodził, uważnie stawiając kroki.

- Byłeś kiedyś w Niebie?

Wtedy ją zauważył. Wyglądała kompletnie inaczej. Miała na sobie białą, obcisłą sukienkę. Ciemne włosy upięła z tyłu. Usta pomalowała na czerwono.

- Stęskniłam się – szepnęła Barmanka.

## ROZDZIAŁ IV.

### *PIERWSZE DANIE.*

Piwnica pachniała słomą. Było cholernie ciemno. Szeryf nic nie widział dookoła. Za namową kobiety usiadł przy zardzewiałym, metalowym stole. Na środku w wazonie stał kwiat. Róża. Nie był pewny, czy to stół dla młodej rodziny, czy młodego patologa.

Barmanka usiadła naprzeciwko. Nachyliła się, ile tylko mogła, podparła brodę dłońmi i wbiła w niego swoje ogromne, brązowe oczy.

- Wyglądasz blado – szepnęła.

Położyła dłoń na jego policzku. Szeryf odsunął się.

- Łamiesz mi serce. Tyle na ciebie czekałam.

- Nie znamy się – powiedział.

Kobieta uśmiechnęła się. Milczała przez chwilę.

- Zrobiłam ci herbatę. Napijesz się?

Wstała od stołu nie czekając na odpowiedź. Mężczyzna położył dłoń na rewolwerze.

- Masz. Napij się.

Kubek zatrzęsł się w jego ręce. Przybliżył go do nosa. Brązowy płyn pachniał normalnie.

- Zdejmij kapelusz – powiedziała – Nie jesteś chyba androidem, żeby pić w kapeluszu, prawda?

Opuścił wzrok. W jednej dłoni ścisnął herbatę, w drugiej rewolwer. Cholera. Rozluźnił dłoń, puszczając pistolet.

Nagle spust zazgrzytał. Wbił wzrok w kobietę. Przełknął ślinę.

- Pomóc ci?

Dłonią gładziła stół, pokazując, gdzie ma odłożyć kapelusz. Odłożył go posłusznie, po czym otarł czoło.

- Sama parzyłam. Taka, jaką lubisz.

- Jeżeli tyle o mnie wiesz – nachylił się ku niej – To wiesz też, po co tu jestem.

Uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Wbiła wzrok w herbatę.

- Trzeba samemu zebrać składniki. Dobrze wybrać, wszystko musi pasować.

- Gdzie one są? - zapytał.

- Najczęściej na pustyni – odpowiedziała – Łączenie może być trudne, przyznaje. Innym rzadko się udaje.

- Gdzie one są?!

Kobieta chwyciła kubek w dłoń. Oglądała go z każdej strony.

- Ale warto próbować.

- GDZIE ONE SĄ ?!

Podniósł się i wycelował w Kobietę.

- Przykro mi, że to robisz – wyszeptała.

- Przykro? Tobie przykro? Kurwa, co mają powiedzieć rodzice tych dzieci? Co ma powiedzieć...

- Ty? - przerwała.

Kobieta zrobiła krok do przodu.

- Tylko tobie zależy na tych dzieciach. Nikomu więcej.

- Powiesz to Burmistrzowi i jego żonie.

- Burmistrzowi? Jego zainteresowania zaczynają i kończą się w banku.

- Nawet nie próbujesz zaprzeczać.

- Bo wiem czemu to robię. Maria by zrozumiała.

Że co? Mężczyzna zastygł w bezruchu.

- Od dwóch lat chodzisz za mną jak cień. Miałam czas, żeby cię poznać.

- Nie wiesz nic.

- Tak uważasz?

- To czemu, pozwoliłaś mi tu przyjść?

- Żebyś w końcu zrozumiał.

- Powinienem cię zabić tu na miejscu.

Rozłożyła szeroko ręce.

- Rób co musisz.

Podniósł pistolet i strzelił tuż obok jej ucha, nie zastanawiając się ani sekundy. Wrzask wypełnił pomieszczenie.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to nie kobieta krzyczała.

Rozejrzał się. Z ciemności dochodziło ciche szuranie. Z każdą sekundą się przybliżało.

- Mamo? - pisnął głosik.

Do kobiety podbiegła mała dziewczynka. Błada. Jej ręce błyszczały metaliczną zielenią. Patyna. Barmanka objęła ją.

- To nic. Nie bój się – szepnęła.

- Bałam się...

- Już, już. Ciii...

Dziewczynka uśmiechnęła się. Uspokojona, odbiegła kawałek, usiadła na podłodze i zaczęła bawić się swoim butem.

- Ona potrzebuje lekarza.

- Wiesz dobrze, że AMBA zabiłaby ją na miejscu.

Kobieta przybliżyła się do mężczyzny. Spojrzała mu w oczy.

- Dlatego cię właśnie zaprosiłam. Zrozum, że potrzebuje jeszcze trochę czasu.

- Inne dzieci... po co to wszystko?

- Potrzebowałam części.

Szeryf zrobił krok w tył.

- Muszę wymienić w niej wszystko, co...

- Ja pierdole – przerwał jej – To tak nie działa.

- Działa. Raz już się udało.

Kobieta spojrzała w sufit.

- Barmanka... - szepnął.

- Zrozum. Oni widzą w niej tylko metal. Nic więcej. Dla mnie jest wszystkim. Czymś... fantastycznym.

- Ja pierdole...

- Jak tu weszły androidy. Wiesz jak było. Brały każdą kobietę...

- Jest pół androidem?

Kobieta kiwnęła głową.

- Ale te wszystkie dzieci...

- Nikt ich nie szukał.

- Co to zmienia?

- Tylko w taki sposób zobaczy kiedykolwiek Słońce! – krzyknęła.

Spojrzał na dziewczynkę. Nie zwracała na nich kompletnie uwagi. Kręciła swoim dziurawym butem po podłodze.

- Ona wie co się dzieje? Wie, że jej matka wychodzi wieczorem na polowanie?

- Wychodziłam tylko po kwiaty.

- Ten chłopak ci pomagał?

- Maria by mnie zrozumiała – wyszeptwała.

- Nic o niej nie wiesz.

- Ale ty wiesz coś o dzieciach.

Zacisnął zęby. Cięża. Poronienie. Dawno wyrzucił to z głowy. Zrobił krok w tył. Czuł, jakby jego głowa ważyła tonę. Myśli buzowały w jego głowie.

Opuścił broń. Spojrzał jeszcze raz na kobietę oraz jej córkę.

Co ja robię?

- Halo? Tato? - z myśli wyrwał go słaby jęk gdzieś z ciemności.

Dziecięcy jęk. Żywy jęk. Podniósł broń i przycisnął lufę do czoła kobiety.

- Tym razem się uda – szepnęła – Jestem pewna. Daj szansę. Nie mi. Jej.

Palcem wskazała córkę. Zacisnął dłoń na spuście, aż zbiełała. Bardzo chciał krzyczeć.

Nie mógł. Jego usta były rozsznurowane, a on po prostu nie mógł.